Lwów, 5. Czerwca. №66. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.—półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rvciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za na stęp. po 1½, kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

Dla święta we Czwartek, Nr. 67 we Środę o godzinie 6 wieczorem wydanym będzie.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

II.

NIESZCZĘŚCIE NA GŁADKIEJ PODŁODZE.

Wyszedłszy na ulicę Robert zrównał kroku z przyjacielem Berkiem i obaj puścili się Halickiem w takiej zgodzie, i w tak ścisłem równouprawnieniu, jakoby między ich wyznaniem lub pozycją społeczną najmniejszej nie było różnicy.

Berko był dla Roberta miłą niespodzianką, bo mu przyniósł kawałek chleba, czyli sposób zapracowania na niego! Lecz tym razem straciła miła każdemu juryście postać izraelity wiele ze swego uroku. Wczoraj jeszcze rano uściskanoby Berka, kochanym by go nazwano, byłby chwil kilka rozpierał się na miękkim fotelu, rozczesałby sobie pejsy grzebieniem ze słoniowej kości, a nawet w ferworze uniesienia dostałby w podarunku przecudnej rzeźby cybuch rogowy. Ale dzisiaj ograniczył się nasz jurysta tylko na biernej uległości, przypuściwszy syna Izraela do zupełnego równouprawnienia w całym pochodzie przez ulicę halicką. Inaczej też być nie mogło. Juryście bowiem skakały teraz dziwne rzeczy po mózgu. Niebyły to wprawdzie paragrafy ani expozycje *„de jure caduco"*, ale było to trochę gramatyki, konjugacji, trochę metafizyki i nieco romantyki.

Wczorajszy wypadek poburzył mu w głowie przez kilka lat starannie układane systemata, które rozleciały się jak tkanka pajęcza za podmuchem wiatru. Ten śmiech fantastyczny, z którym mimowolnie łączyła się twarz przecudnej piękności; te genialne chichoty, które znamionowały serce szlachetne i duszę podniosłą; wreszcie ten talent lekkiego szkicowania amblematów humoru i ironii, i do tego to nagle zniknienie olśnione urokiem tajemniczości: wszystko to kręciło się w jego głowie jak młyńskie koło, a od huku i hałasu niedało mu powziąć żadnych innych wrażeń z otaczających go przedmiotów.

Zimny na pozór jurysta, który wszelkie wyloty ducha swego i serca pozapychał starannie ogromem nauki i wiedzy ludzkiej, wyglądał w tej chwili jak budynek okryty dachem miedzianym i żelaznemi okienkami obwarowany, w którego wnętrzu chociaż się srożył pożar nieugaszony, jednak na zewnątrz nie wybiegł ani płomyk, ani iskra nie uleciała. Przy lekkim uśmiechu zadowolenia na jego bladych licach, przy całej pozornej uwadze, z jaką słuchał przydługiej przyjaciela Berka rozmowy, któż mógłby się spodziewać, że w jego wyobraźni tłoczyły się liczne stada samych głów długouchich, odbywała się najwyborniejsza konjugacya wyrazu „amo", której najważniejsze części były: *„amo, amare, amavisti, amandum, amaturus?"* Niebyło wprawdzie w tej konjugacyi najważniejszej składowej części, to jest imiesłowa: *„amatus"*, ale za to były inne surrogata, które ten brak uzupełniały przyzwoicie, nie ubliżając zasadom najzdrowszej gramatyki.

W takich zatopiony marzeniach i konjunkturach gramatykalnych, przeszedł nasz filozof *„de jure"* a jurysta *„de facto"* w towarzystwie starozakonnego przyjaciela całe Halickie, a skręciwszy przez plac św. Ducha na wały, puścił się dalej ulicą Syxtuską. Na samym końcu ulicy stanął antykwaryusz, a dokończywszy swojej instrukcyi, odkaszlnął, splunął, pogładził ręką po długiej brodzie i wszedł pierwszy do kamienicy. Za nim idący młodzieniec postępywał machinalnie przez kamienne, suknem szarem okryte schody. Już u drzwi szklannych ujrzał, że Berko znowu stanął, po raz drugi splunął, brodę pogładził, i dopiero nieśmiało za dzwonek pochwycił. W przedpokoju chciał Berek jeszcze raz splunąć, ale widząc posadzkę woskowaną, cofnął swój zamysł i połknął, pogładziwszy natomiast dwa razy po brodzie.

Uczyniwszy tym sposobem zadość swojej własnej osobie, przeniósł całą uwagę na osobę klienta. Najprzód dobył chustki ciemnego koloru, a począwszy od czarnej jurystowskiej czupryny, skończył na butach, które z całego jego ubrania najmocniej go zadowoliły. Trzepał, wycierał, skrobał pazurami, pluł i dmuchał dopóty, póki młody kandydat nie stanął czysty i świecący, a chociaż cały jego ubiór nie odznaczał się krojem najnowszym, był jednak w oczach Berka arcyprzyzwoity, i w swoim sposobie doskonały. Kołnierz tylko przydługiego nieco surduta nie podobał mu się, bo mając zięcia krawcem, nabył już był elementarnych sztuki krawieckiej pojęć. Otóż stosownie do tych pojęć ogól-

nych powziął on myśl szczególną, upornie sterczącemu kołnierzowi nadać przynajmniej na czas niejaki formę giętką i elastyczną. Aby to uskutecznić, wylazł na krzesło, a pochwyciwszy silną, kościstą dłonią za kołnierz, począł ciągnąć i potrząsać w prawo i w lewo, w tył i w przód, kazał biednemu juryście kilka razy zmieniać front i pozycją, a powcławszy do tych operacyj w pomoc i kolana, począł był właśnie niem wykonywać jakiś nowy manewr, kiedy z pobocznych szklannych drzwi zleciała nagle lekka jedwabna zasłona, a wraz z piękną rumianą twarzyczką pojawiły się dwoje czarnych oczu i dał się słyszeć śmiech pełen pustoty, śmiech szczery i serdeczny.

Niewiem jakim sposobem to się stało, ale juryście, któremu chichoty wczorajsze ciągle brzmiały w uszach, wydał się ten śmiech najwierniejszą kopią owego śmiechu z ogrodu jezuickiego, albo przynajmniej był takowy najdokładniejszą jego podobizną. To złudzenie pozbawiło go i tak bezsennością nocy osłabionych zmysłów, a woskowana posadzka poczęła mu się z pod nóg usuwać! Chcąc przyjść do równówagi, zmienił nagle pozycją w chwili, gdy Berek z podniesionem w górę kolanem zabierał się do ostatniego ciosu. Wymierzony cios trafił w powietrze, a w pozycji sędziwego Berka zrobiło się zamieszanie niepospolite. Upadając zmiatał z kredensu kandelabry, butelki, karafki i różne puszki, a jeszcze ciągle upadał. W rozpaczy pociemniało mu już przed oczyma, a widząc otaczające go przedmioty w omroczu, zdawało mu się, że się kładzie na spienione fale burzą miotanego morza! Wtem ujrzał niby przez mgłę wystającą z wody skałę i ostatniem natężeniem pochwycił za nią. Byłto świeżo umodelowany kołnierz przestraszonego jurysty.

Byłto huk, stuk i krzyk, a otworzone na oścież drzwi okazały zdumionej gospodyni gości wchodzących w sposób tak dziwaczny.

Zerwawszy się na nogi, spojrzeli po sobie patron i klient wzrokiem badawczym, co w takim razie czynić wypada. Lecz gdy pierwszy ból dojmujący w tyle głowy uczuł, i tamże kilka guzów namacał, zrzekł się jako inwalid stanowiska wstępnego, a stając w odwrocie pozostawił nieszczęśliwego młodzieńca jego własnym siłom i własnemu przemysłowi.

Gospodymi domu pomimo rysów twarzy ponurych i surowych, niemogła na ten widok powstrzymać pewnego dobrotliwego uśmiechu, który naszego jurystę nieco do zmysłów przyprowadził. Posunął więc śmiało naprzód, lecz stanąwszy na środku salonu spostrzegł na swoje nieszczęście, że przyjaciel Berek z hebrajskiemi wykrzyknikami boleści cofał się w najciemniejszy kąt lokajskiego przybytku. Widząc tym sposobem, że jest straconą pikietą, począł przemyśliwać nad swojem własnem ocaleniem.

Rzuciwszy okiem wkoło siebie, przekonał się jurysta że położenie jego staje się nader niebezpieczne. Berka bowiem już stracił z oczu, a przed nim stała kobieta wysokiego wzrostu, rysów marsowych i nader śmiałej postawy. Na jej licach poważnych walczył wyraz widocznego niezadowolenia z wyrazem wytężonej ciekawości i tylko lekki uśmiech nieopisanej dobroci umilał te niepewne chwile ostatecznego rozwiązania. To było jedno, co mogło nieszczęśliwemu kandydatowi dodać serca i odwagi, ale natomiast zbliżał się tej chwili do niego nieprzyjaciel tem niebezpieczniejszy, że nie będąc zdolnym wyrozumienia, szedł ślepo za swoją namiętnością. Byłto dziwnie i fantastycznie kudłaty pudel, niepospolicie szpetna i straszna bestja, która wyrcząc i mrucząc zbliżała się do ataku.

Wzięty we dwa ognie jurysta westchnął o pomoc nadprzyrodzoną, i otrzymał takową. Jak niegdyś przed rzuconym do jaskini prorokiem upokorzył i uspokoił się lew rozżarty, tak samo przed naszym bohatyrem legła na brzuchu owa bestja szpetna, która przed chwilą wystąpiła przed nim do walki zaciętej.

Wybawiony od tego niebezpieczeństwa zebrał całą swą odwagę w ową stronę, od której widział postępującą ku niemu kobietę. Już chciał sposobem przyzwoitym opowiedzieć cel swego przybycia, jak niemniej i okoliczności opisać, które temu przybyciu tak nieszczęśliwie towarzyszyły; gdy oto rozwarły się drzwi od przyległego pokoju, a w otworze zabłysła połowa rumianej twarzyczki z jednem czarnem okiem. W krótce znikło oko, a natomiast uderzył o ucho jurysty śmiech pełen pustoty i serdecznego zadowolenia. I dziwna, śmiech ten obudził znowu w zakłopotanym młodzieńcu to samo uczucie i trwogi i jakiegoś niemiłego przeczucia, jakie był doznał w przedpokoju podczas operacyj berkowej. Znowu jakaś ciemna reminiscencya ogrodu jezuickiego zaruszała się w mózgu zburzonym, a sytuacya jego w tem się tylko różniła, że miasto owej szpetnej głowy z dlugiemi uszami, widział przed sobą leżącą na brzuchu szpetną bestją, której podstępu dotąd się obawiał.

Widząc gospodyni domu, że biedny młodzieniec nie może w żaden sposób przyjść do równowagi władz umysłowych, ośmieliła go gestem i uśmiechem i zapytała się z nadzwyczajną grzecznością o cel jego odwiedzin. Zaledwie tenże słów kilka a między temi i swoje nazwisko był wymówił, prosiła go ugrzeczniona gospodyni usiąść i wiele podchlebnych powiedziała mu rzeczy. Zwolna przychodził jurysta do siebie, począł się swobodnie po salonie rozpatrywać, dosyć trafnie na zapytania gospodyni odpowiadać, a nawet już na dowcip zdobyć się usiłował, gdy oglądnąwszy się, pobladł nagle, a słowo niedomówione w ustach mu zamarzło. Ujrzał on bowiem tuż blisko siebie, bo na własnym karku, sterczącego coś wysoko po nad uszy, a w myśli szybkiej jak błyskawica, widział już siebie podobnym do owej na excerptach tak genialnie naszkicowanej głowy! Tymczasem byłto tylko własny jego kołnierz, za który upadający Berek tak namiętnie pochwycił, iż go wyso-

ko na uszy wyciągnął. Zaspokoiwszy się i z tej strony i sprowadziwszy ten nieszczęśliwy kołnierz do pozycyi przynależnej, oddał się cały uwadze w rozmowie rozpoczętej, którą nietylko jak widać, gospodynią zadowolił, ale nawet i fatalne z Berkiem zdarzenie należycie okrył i wytłumaczył.

Gospodyni domu była to obywatelka zamożna z Przemyskiego, która właśnie co zjechała na mieszkanie do Lwowa, aby szesnastoletniej córce dać ostateczne wykształcenie, a w razie potrzeby wyższemu światu jej wdzięki i talenta przedstawić. Jakkolwiek z jednej strony nie można jej mieć za złe owej próżności macierzyńskiej, która w swej córce widziała ukończony ideał piękności i talentów, tak z drugiej strony nader chwalebne były jej przedsięwzięcia, wydoskonalić te wrodzone talenta stosowną i przyzwoitą nauką, której przy rozlicznych jej rozgałęzieniach tylko w stolicy nabyć można w sposób zadowalniający. A chociaż szanowna matrona od lat kilkunastu na wsi zamieszkiwała, widać jednak było po całem jej ułożeniu i zachowaniu się że odebrała wykształcenie staranne i różnostronne, i że o postępie niektórych zdań i wyobrażeń bynajmniej nie przepomniała. Na pierwszy rzut oka, chociaż postawa jej tchnęła zawsze pewnem znamieniem arystokracyi, można było jednak poznać, że się nie liczy do tych, co „nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli, ale przeciwnie, obok powagi, wypływającej z przeświadczenia zasług rodowych, w całem jej zachowaniu się było tyle uprzejmości i słodyczy, tyle zdrowego rozsądku i należytego ocenienia rzeczy, że tylko w obec takiej damy mógł nasz biedny jurysta odzyskać równowagę moralną i wystąpić w całym blasku lepszej swojej strony. —

A lepszą jego stroną było piękne wykształcenie umysłu i nauka obszerna, a co podówczas nader rzadko się wydarzało, miał on niepośledne wiadomości z literatury ojczystej, nabyte własnym swojej woli popędem, które tem większą miały zasługę, że nie było można do nich przyjść drogą każdej innej zwykłej nauki, ale potrzeba było przedzierać się przez ścieszki nieutarte, bez książek podręcznych, bez wykładów publicznych. Istniały wprawdzie jedne i drugie, ale duszy młodzieńczej, pragnącej widzieć wzniosłe obrazy przyszłości w krzyształowej przezroczy wód rodzinnych, podawały takowe w mętnych zbrudzonych falach, a ognista wyobraźnia nie ujrzała wcale w nich szczegółowych rysów duszy narodowej. Kierunek podobny między ówczesną młodzieżą był tem rzadszem zjawiskiem, że nietylko nieprowadził on do żadnego znaczenia i odpowiednej posady społecznej, ale przeciwnie często stawał się nieprzełamaną do tego przeszkodą. Omijano go więc jak drogę prowadzącą do piekła, i obierano za to te powabne chodniki, które chociaż częstokroć kręcą się i wiją w sposób nienaturalny, prowadzą jednak każdego tej ziemi wędrowca bliżej i bezpieczniej do zamierzonego celu ubezpieczenia sobie przyzwoitej posady społecznej. —

Nasz młodzieniec miał swoje własne powody do zjednoczenia tych obu kierunków, i połączenia ich do wytkniętego sobie celu. A cel ten był wielkiego zakroju i wielkich rozmiarów, a czem trudniej było o środki do dalszego pochodu, tem raźniej i z tem większą otuchą poświęcał się pracy zmudnej i czysto teoretycznej, która jednak w praktycznem zastósowaniu miała mu zdobyć stanowisko gorąco pożądane, a jemu już raz w życiu przesądem społecznym niegodziwie wztrronione!.

Tym sposobem między całą ówczesną młodzieżą akademicką słynął Robert ze swojej głębszej nauki, mianowicie z gruntownego znawstwa dziejów kraju, języka i literatury ojczystej. Sława jego z tąd była w stolicy już tak rozpowszechnioną, że przybyła do stolicy obywatelka bardzo łatwo dowiedzieć się mogła o jego szczególnem uzdolnieniu na nauczyciela języka i piśmienictwa polskiego. A że naukę takową wysoko cenila i nad wszelkie inne przekładała, życzyła sobie, aby jej ukochana jedynaczka posiadała ją w równym stopniu jak muzykę, tańce, literatury i języki zagraniczne.

Opierając się na historycznych zasługach swojego rodu, niezapomniała wcale, że nie zawsze podobne zasługi bywały wynagrodzone zaszczytem lub znakomitą posadą społeczną, i że często potrzeba było tylko w sumieniu obywatelskiem, okrytem na zewnątrz częstokroć szatą nędzy i niedostatku, i w przekonaniu obowiązków spełnionych, szukać ukojenia, słodyczy i jedynej nagrody. To też dla tego odnosząc naukę pracowitego młodzieńca do owych cichych, niczem nieuwzględnionych zasług dla kraju i społeczeństwa, a czując całą ich wagę i donośność, widziała w siedzącym naprzeciw niej młodzieńcu ową dobrowolną ofiarę niefortunnych czasu stosunków, która idąc za natchnieniem ducha, niesie na własnych barkach drzewo i zażogę na stos ofiarny.

W umyśle prawdziwie szlachetnym niezapuszcza żadna śmieszność głębokich korzeni, a jeźli uśmiech wystąpi na lica, to przemknie po nich jak po bezdennem morzu lotna czajka, niezostawiając za sobą najmniejszego śladu. Tak przeminęła w oczach rozsądnej gospodyni owa śmieszność pierwszego wystąpienia jurysty, a nawet ubior tego ubogi i wcale nie modny i występująca tu i owdzie jednostronność jego teoretycznego ukształcenia, nie wpłynęły bynajmniej na powzięte o nim zdanie pierwotne, które osobistej jego zasłudze oddało szacunek przynależny.

Uprzejma gospodyni rozwinęła także wiadomości niepospolite, które zdawały się być szczątkami naszej dzisiaj przygasłej, niegdyś samorodnej ogłady i cywilizacyi, która rzeczy ojczyste kładła zawsze na pierwszem miejscu. Po półgodzinnej rozmowie ruszał się nasz jurysta tak swobo-

dnie, i bez przymusu, jakoby gwarzył ze swoim towarzyszem w owym dwulicowym pokoiku.

Powiedziawszy młodzianowi wiele podchlebnych słów, tyczących się wybranego przezeń kierunku, roztoczyła rozsądna matka przed nim cały plan nauki rzeczy ojczystych z któremi chciała zaznajomić młodą główkę swojej jedynaczki. Jurysta nasz jedno przyznawał, drugie prostował, trzecie ganił bezwzględnie z taką decyzyą i z takiem przekonaniem swojej wyższości, że szanowna matrona nie mogła uszom swym uwierzyć, że widzi przed sobą postać, która gdyby milczała, wzbudziłaby w niej ze względu na swoją nieudolność powierzchowną pewne uczucie politowania a które teraz, pomimo exentrycznej śmieszności pojawienia się, wymuszała na niej poniewolny szacunek i uwzględnienie należyte

Z obopólnem więc zadowoleniem skończyła się pierwsza wizyta, a odebrawszy grzeczne zamówienie na pierwszą lekcyą, skłonił się biedny jurysta i obrócił się ku drzwiom.

Rozmowa z panią domu tak mu wybiła z głowy świeży jego przypadek, że idąc przedpokojem i niewidząc najmniejszego śladu tej akcyi tragicznej, już był gotów poczytać wszystko za jakiś sen złowrogi, gdy oto w przyległych drzwiach ujrzał podniesioną zasłonę, a w przezroczy szkła pojawiła mu się ta sama rumiana twarzyczka, z tem samem czarnem a promiennem okiem, i niestety, z tym samym pustym uśmiechem, który przechodząc z „*pianissimo*“ do „*piuforte*“ ścisnął znowu za sturbowane serce młodzieńca, i wlał w nie to przekonanie niezbite, że śmiech ten, a śmiech z ogrodu jezuickiego, były jeżeli nie bracia rodzeni, nader to przynajmniej do siebie podobni. —

Nabrawszy atoli odwagi przekroczył szybko tę drogę cierniową, a wyszedłszy do sieni, owiany powietrzem świeżem i czerstwem, począł znowu o prawdzie tego straszliwego widma powątpiewać, gdy z ciemnej pobocznej sionki wylazła do niego postać osmolonego i opylonego na wszystkie strony antykwaryusza. Więc całe zdarzenie nie było ani snem ani marą, bo przed nim w żyjącym ciele stanął towarzysz upadku „przyjaciel Berek.“—Jurysta przestraszył się zmienioną jego fizognomią, a przecierając oczy widział przecież, że „przyjaciel Berek“ wśród tej półgodziny postarzał się najmniej o lat dziesięć. Twarz jego stała się więcej ściągłą i więcej bladą, włosy jakoś posiwiały znaczniej, a jakiś dziwny nieporządek w ich układzie znamionował, że w środku tej skorupy mózgowej wylęgały się myśli pełne rozpaczy, a może samobójcze!— (C. d. n.)

CZARNY KRZYŻYK.

Gdym na ciężkie — krwawe boje
Iść przed laty miał,
Tam żegnając dziewczę moje —
Czarnym krzyżyk dał.

„Rankiem modląc się do Boga,
Za mnie pacierz zmów,
A choć ostre miecze wroga,
Wrócę z boju zdrów.

„Tylko stała w mej obronie
Szczerze Boga proś,
Z wiarą w przyszłość na swem łonie
Czarny krzyżyk noś.“

Widać... w jasnym łez jej zdroju,
Szczerość widział Bóg...
Tysiąc braci legło w boju
A mnie nietknął wróg.

Lecz z powrotem marząc mile
Gdym ją witać chciał,
Jej niebyło!... na mogile
Czarny krzyżk stał.

Bruno B....

STATUA
NAJŚ. PANNY MARYI
PRZED KOŚCIOŁEM
OO. KAPUCYNÓW W KRAKOWIE
(Dokończenie.)

——

Po skończonem czytaniu, X. Sufragan pomnąc na zaszłe opowiadane mu zdarzenia w życiu Sokołowskiego i na to po śmierci pojawienie się jego z taką prożbą, zawołał w pobożnem uniesieniu:

— O Maryo łaskiś pełna!

Potem posłał Kawskiego po X. Zarembę, aby wyręczając go napisał list, a tym czasem od czekającej kobiety umyślił wywiedzieć się czy nie ma jakich ustnych poleceń?

Przywołana i zapytana, odpowiedziała ze zwykłą naszym włościanom wesołością: A juści! ale z przeproszeniem X. dobr. muszę zdjąć chustkę z głowy, boć tam pod nią przykryty mam włosami wianeczek. Co zrobiwszy oddała X. Sufraganowi wyjęte z pod włosów skórzane kółko z zaszytemi w niem dukatami, rzekłszy: tam mi go skryła imość, mówiąc, strzeżonego p. Bóg strzeże.

Wrócił w krótce Kawski z X. Zarembą; pierwszy wypról i odliczył 50 nadesłanych dukatów; drugi po naradzie i postanowieniu nie robienia tajemnicy przed matką o wypadkach i śmierci Sokołowskiego, napisał list rozniecający w jej sercu cierpliwość i potulność chrześcianki, dla ukojenia niemi boleści matki i zapewniający ją, że stanie się zadosyć jej życzeniu.

W Krakowie, będącym w tym czasie ciągłem polem

walki Rossyan i Konfederatów, wszyscy oczekiwali z trwogą, rychło pożary i zniszczenia, co już go otoczyły ruinami z przedmieść, nawidzą miasto, i zamienią go w wielką popielnicę z wypalonych dawnych zabytków jego świetności.

W takim to opłakanym stanie Krakowa statuę N. P. Maryi wykutą dłutem Jana Krzyżanowskiego, na ówczas jednego z 4 starszych cechu kamieniarsko-murarskiego postawiono na smętarzu Maryackim, odsłoniono i poświęcono w d. wniebowzięcia N. P. Maryi r. 1771.

Postanowiono wtedy nietylko niezawiadamiać żadnym napisem, kto ją wzniósł i na jaką pamiątkę, ale mieć to w tajemnicy aż do ukończenia wojny. Pozbawieni o tem wiadomości Krakowianie, myśleli że ktoś stawia tę statuę dla Boga Rodzicy, aby rozciągła swą opiekę nad miastem i to domniemanie zostało; bo co miało być tajemnicą do ukończenia wojny, w tajemnicy się ukryło i nadal przez zaniedbanie umieszczenia później stosownego napisu.

Tym sposobem zaginęła prawie wiadomość o powodzie wystawienia tej statuy, która o mało że i sama ocalała; bo gdy po r. 1794. z rozkazu owczesnego rządu burzono mury i uprzątano wszystko z smentarza P. Maryi, wtedy będący już na ówczas księdzem, ów kleryk Kawski, a zmarły w dniu 2 Maja 1827. uratował ją, przenosząc własnym kosztem na plac po przed kościół OO. Kapucynów. Stoi ona tam do dziś dnia, ale pozbawiona wspomnienia, że jest pamiątką z owej chlubnej a nieszczęśliwej przeszłości, i pomnikiem Sokołowskiego.

Potęga przemysłu.

I.

(Dokończenie).

Okrawki morskiej piany potłuczone i przesiane, rozpuszcza się w wodzie z dodatkiem kleju jakiego, mianowicie owej gliny do fajek używanej, i tworzy się tym sposobem ciasto czyli massa, z której wyrabiają się lulki. Zdaje się sposób to bardzo prosty i naturalny, ale odkrył go przecie dopiero zmysł gospodarski prostego kmiotka z lasów turyngskich, Krzystofa Dreis w r. 1772. Wynalazek ten stał się na wsze strony pożytecznym. Używanie lulki piankowej zrobił przystępnym klasom uboższym, fabrykantom przysporzył zarobku, przez łatwość zbycia tańszego towaru, a nareszcie w dzieje przemysłu wpisał zaszczytnie nazwisko wioski ukrytej i małoznanej, a to tem więcej, że z tej massy wyrabiają prócz tego wiele innych kosztowniejszych naczyń, jak n. p. małe słupki do wielkich zegarów i t. d.

Żadne zwierzę nie ginie darmo, bo przemysł umie spożytkować każdą jego część. Nie odstrasza się on przenikliwym, często nieznośnym zapachem ścierwa zwierzęcego. Bez owczych kiszek nie mielibyśmy stron, a zatem owych strónowych instrumentów które stanowią przecie najznakomitszą część muzycznego dźwięku. Reszta skóry stanowi utrzymanie garbarza, a inne żyły zwierzęcia dają żyć fabrykantowi karuku. Ten to wie najlepiej co to jest przerabiać. Co garbarz odskrobie ze skór swoich jako już niepotrzebne, to da mu jeszcze 46% karuku; nogi bydlęce i okrawki pargaminowe 62%; okrawki skór wolich z Buenos-Ayres 60%. Nie pogardza on nawet zużytą rękawiczką I ta wraz z innemi resztkami, n. p. nóżkami baraniemi, małemi kosteczkami, z niezdatnemi, już przez kapelusznika, odartemi z włosu zajęczemi lub królikowemi skórkami, da mu około 42% karuku. Nie jest że to nowa a wielka gałęź przemysłu, oparta na samych obrzynkach i okruchach?. Bez karuku nie byłoby stolarzy, bez niego nie miał by drukarz swojego tak niezbędnego walca drukarskiego złożonego z syropu i karuku; a bez takiego walca nie mielibyśmy owych pospiesznych pras drukarskich, które nam dostarczają do 12000 arkuszy drukowanych na godzinę. Walec ten dopiero zrobił szybkie drukowanie możliwem, gdy dawniej na ręcznej prasie ledwie 250 arkuszy drukowano na godzinę.

Tym to sposobem przemysł chwyta przedmioty najwięcej pogardzone, i uszlachetniwszy i przerobiwszy wprowadza w środek naszych zajęć, naszych przyjemności i najmilszych stosunków.

Przemysł nie da zaginąć najmniejszemu kawałkowi skóry, wyrzuconemu przez szewca. Jeśli jest dość wielki, zrobi z niego guziki, a za pómocą maszyny do krajania i wyciskania, nada im nawet kształt i powierzchowność kunsztowną. Jest li za mały, weźmie go ochoczo fabryka berlińskiej barwy niebieskiej. Jej nie idzie o wielkość skórzanego okrawku, ale o jego cenę tanią.

Pierwiastek zwierzęcy spali z potażem, zrobi z niego ług, zmiesza go z żelaznym witriolem i ałunem, i wydobędzie z niego kosztowną pruską barwę. Co czlowiek nogami deptał, służy potem do farbowania płócienek, jedwabiu, wełny i bawełny, i świeci krasnemi barwami na nowej sukni.

I o kość zwierzęcą, która leży bez pożytku przy drodze, dobija się przemysł. Lepszą, mniej zepsutą kość wezmię fabrykant guzików, a resztę porwie fabryka cukru. Bez tej ciemnej mąki z kości, nie dała by się faryna cukrów wyrafinować na biały cukier. Przypomnijmy sobie czasy około r. 1836. kiedy poraz pierwszy pojawiły się w Niemczech burakowe cukrownie, a kości zwierzęce, na które pies już patrzeć nie chciał, do takiego przyszły poszanowania. Te kości co aż do obrzydzenia zawalały drogi i pola, stały się towarem więcej od kruszczów poszukiwanym. Cóż by bez nich znaczył kapitał przedsiębiercy; za ich dopiero pomocą cukrownie zaczęły być intratne. Zbieracze kości rozbiegli się na wszstkie strony, nieopuszczając cmentarzów nawet.

Cóż dziwnego, że Niemcy wówczas stracili nawet a-

petyt do cukru, wychodząc z tego przekonania, że kości bezpośrednio przemieniają w cukier.

Dziwna głupota! Jak w wyższym świata moralnego porządku złe służyć musi do wzniesienia dobrego tak i w świecie fizycznym najlichsza kość służy przemysłowi do wyższych i pożyteczniejszych celów. Pomyślmy jeno o ważności kości jako środka gnojącego, w uprawie roli tyle ważnego. A może znaczenie ich w przyprawianiu szwarcu wyda się nam nie wiele ważnem?.. I to nie!.. Wszakże dobry szwarc nie da się zarobić bez palonej mąki z kości, jest ona jego konieczną podstawą. Z niej to z dodatkiem siarczanego kwasu, powstaje owo składowe ciało które jest warunkiem nieodzownym przeźroczystego glansu. Syróp i oliwa służą tylko, aby zmiękczyć skórę. A glans butów to nie mała rzecz przecie. Każdy przyzna, że milej mu jakoś i świeżej gdy się buty świecą, a ileż to razy obmierznie nam najpiękniejsza przechadzka dla rosą pokrytej trawy!

Zaprawdę wynalazca szwarcu był niepospolitym człowiekiem i rzec by można dobroczyńcą ludzkości co potwierdził by nam niezawodnie sławny Abermann, ów Rotszyld szwarcowego przemysłu.

Od wieków przysyła nam Afryka salmiak, który tysiącu chorym na piersi stał się zbawiennym. A cóż jest salmiak? niczem innem, jeno sublimatem, ulotnym płynem za pomocą ognia wyciągnionym z exkrementów wielbłąda. Uzdrowiony dziękując lekarzowi powinien by rzeczywiście dziękować wielbłądowi. A ta dama wytworna, gdy dumnie po pierwszych salonach przechadza się w sukni turecko-czerwonej, komuż to zawdzięcza? Oto krowim exkrementom!. Na niem opiera się cała fabrykacya barwy turecko-czerwonej. Ten zaś grzebień przeźroczysty, który wstrzymuje sztuczne plecionki jej włosów, ozdabiał niegdyś głowę — wołu!. A te tak szczególnie w węzeł skręcone kulczyki, które nosiła w Paryżu i Berlinie, były przed mnogiemi wiekami zwierzęcem błotem. Tak te pogardzone przez nas przedmioty służą naszemu zdrowiu lub dumie.

Lecz nie dosyć na tem!.. są one źródłem bogactw naszych. Młóto ze zboża pozostałe tuczy bezrogie stworzenia, a wyciśnięta massa burakowa hoduje bydło. To spożytkowanie odchodów fabrycznych stanowi główny dochód fabryk.

Równie pożyteczna jest massa po wycisnieniu oleju pozostała. Na pozostałych pestkach winogronowych opiera się po części fabrykacja blajwasu, tak jak z drugiej strony ze spaleneia tychże pestek powstaje frankfurcka barwa czarna, lub tak zwany chiński tusz.

Gdziekolwiek rzucimy okiem na pole przemysłu, wszędzie się nam pojawia to przeobrażenie niskiego na wyższe, ożywiając i wznosząc ducha ludzkiego, tak jak jest najwyższem życia zadaniem, nas samych wykształcać i przeobrażać, t. j. godzić te wiecznie walczące przeciwieństwa złego i dobrego, niskiego i wzniosłego, doskonałego i nie doskonałego a w ogóle jednać przyjazne z nieprzyjaznem; równie też w świecie fizycznym przemysł wywiązuje się z tego zadania społecznego, jakby to żaden człowiek myślący, żaden wieszcz, żaden artysta potrafić nie zdołał.

Przemysł dzisiaj sięga rzecby można ideału; jest on zaprawde odbiciem ideału, bo odbiciem najwyższego ładu w przyrodzie. A w niej nic nie przepada, ani proszek, ani kropla, ani dech, żadna nie ginie siła bezpożytecznie. Żadne odetchnienie nie znika bez śladu; kwasoród oddechem wyrzucony, spada nazad z powietrza deszczem schwytany, i mniej czy więcej staje się pożywieniem roślin. Cygaro nie znika popiołem zupełnie, paląc łączy się z kwasorodem powietrza.

I błyskawica nie darmo przelatuje obłok; musi dzieląc składowe części powietrza tworzyć amoniak, który choć się tego ani niedomyślamy, z pierwszym deszczem nową żywotną siłą wpływa do roślin. Żaden kwiat nie wypuści na darmo w cichej nocy czarującej woni swojej, by się ta nazad kwiatowi pożyteczną nie stała.

Gdziekolwiek się zwrócimy, przyroda pożytkuje wszystko najmniejsze, najniepokaźniejsze! I przez to utrzymuje się w wiecznej równowadze, w wiecznej harmonii. Każda cząstka ogółu ma swoje uprawnienie do działalności. do życia, do szczęścia i do nieśmiertelności. Zlewając się do ogromu całego wszechświata, zwiększać go musi; i dla tego gdyby to była kropla tylko, wpadając do ogromnego morza obszaru, połączona z niem, święci w jego spaniałości i potędze swoje własne wywyższenie.

W sprawie Tygodnika Warszawskiego umieszczanego w Czasie.

Z Krakowa. Nie jest bardzo przyjemnym obowiązek krytyka, zwłaszcza kiedy mało na pochwałę, a wiele na naganę rozbieranego dzieła da się powiedzieć. Być oskarzycielem często z najlepszemi chęciami pisarza, rozwijać jego błędy, wystawiać go na pośmiewisko i odpowiedzialność przed sądem publicznym, na to potrzeba nie małej odwagi i przekonania, że to co się ogłasza jest jeszcze oparte na prawdzie i wielkiej znajomości rzeczy. Lecz krytyk który bez potrzebnych wiadomości i usposobienia występuje przeciw pismom, których nie zna, jakkolwiek mogą mieć powab jego słowa, jest prostym oszczercą, znieważa prawdę, w błąd wprowadza łatwowiernych i nieświadomych czytelników. Jeżeli poprawiać błędy popełnione przez autorów, mogą ci, którzy więcej od nich mają nauki, talentu i uczucia, ujmować się za autorami przeciw niesprawiedliwej krytyce ma obowiązek każdy człowiek miłujący prawdę.

Kto ma śmiałość występować publicznie przeciw obcym wyobrażeniom i dziełom, powinien zarazem mieć odwagę ogłoszenia swojego nazwiska. W krytykach bezimiennych, a zwłaszcza z dala przychodzących, ukrywają się często niechęci i widoki osobiste.

Przez wzgląd na prawdę w tem samem piśmie, jeżeli to jest pismo czasowe, błąd powinien być sprostowany, w którem popełniony został. Zawiści dziennikarskie zaślepiają niekiedy piszących

i sprowadzają z drogi umiarkowania, które zawsze być powinno cechą krytyki.

Temi zasadami powodowany, napisałem dla Czasu, dziennika wychodzącego w Krakowie, poniżej umieszczony artykuł z podpisem własnego mojego imienia i nazwiska. Z powodu ciężkiej choroby Redaktora części literacko-naukowej, nie mogąc się z nim widzieć osobiście, oddałem moje pismo w parę dni po jego napisaniu jednemu z głównych członków Redakcyi, w przekonaniu, że umieszczenie w Czasie artykułu wyjaśniającego najoczywistsze błędy nie znajdzie trudności. Zdaje się że obawa obrażenia dowcipnego współpracownika Czasu, była powodem, iż mój artykuł z bardzo grzecznym listem odesłano. Nic nie mam przeciw tej względności; lecz mi bardzo przykro, że dla wyjaśnienia prawdy, zmuszony jestem uciekać się do innych dzienników. A ponieważ w Krakowie żadne inne pismo czasowe nie wychodzi, ponieważ Czas jest czytany powszechnie w Galicyi, a za jej granicami bardzo wysoko ceniony, wypada, ażeby ci którzy czytali błędy, mogli mieć wiadomość o ich sprostowaniu, i to mnie powoduje, iż do dwóch pism czasowych uwagi moje podaję. Niechcę przez to ubliżać Szan. Redakcyi Czasu, szanuje jej delikatność, ale mniemam, że pod swoją chorągwią niepozwoli rozwijać się błędom historycznym; może w innych słowach, ale sama zechce oddać świadectwo prawdzie. W ostatnim ustępie mojego artykułu idzie zaś nie tylko o obronę X. Stanisława Konarskiego, przeciw zarzutom wystawiającym podstępne jego działanie, ale i o sławę zakonu Jezuitów. W osobnem pismie, na zarzuty robione Konarskiemu przez ludzi w kościele i naukach wielkie mających znaczenie, odpowiedzieć będę się starał.

Dopełniając to, czegom nie powiedział w artykule pisanym do Czasu, winienem dodać, że autor Tygodnika Warszawskiego umieszczanego co Czwartek w Czasie, za nadto posuwa swoją szczegółowość kronikarską. Powieść i komedya, zawierające opowiadania za prosty wymysł autora poczytywane, mogą się jeszcze obracać, choćby się i to niegodziło, około mniej moralnego zdarzenia; ale w kronice, Warszawskie życie mającej na celu, ustawnie wspominać o wypadkach niewierności małżeńskiej, o sprawkach gorszących, jest to mało cenić przyzwoitość publiczną. Choćby się i działy podobne, rzucić potrzeba na nie zasłonę. W prawdzie nie wymienia autor osób, ale po nici dojdzie się do kłębka. Błędy literackie nie są wykroczeniami i należą do pism publicznych; lecz usterki w domowem życiu zostawić potrzeba Bogu, sumieniu i prawu.

Kraków, dnia 18. Maja 1855.

Do Szanownej Redakcyi «Czasu».

Co za szkoda, że dowcipny pisarz Tygodnika Warszawskiego umieszczanego co tydzień w Czasie, miesza się niekiedy do rzeczy historycznych! W opisywaniu warszawskich stosunków, dziennych zatargów, w opowiadaniu komerażów, anegdot prawdziwych i zmyślonych, moralnych i gorszących jest nieporównany; ale ile razy na dziejowe zapuści się pole i zwróci do czasów dawnych, nie może się ustrzedz grubych błędów. Nie jego to niwa, nie jego powołanie. Z salonów warszawskich, choćby nawet z wieczorów literackich, historycznych wiadomości do pism publicznych wynosić nie można: trzeba się koniecznie radzić książek, trzeba się uczyć i sprawdzać usłyszane opowiadania: od ucha jakoś takich rzeczy usłyszanych, wypowiadać się nie godzi.

Nie mam zebranych wszystkich numerów Czasu, nie mogę iść śladem całego pocztu Tygodników; to jednak co mi w tej chwili wpadło pod rękę, wystarczy do okazania, że zarzuty przezemnie robione Tygodnikowi opierają się na faktach.

W drugim tegorocznym Tygodniku umieszczonym w Nr. 14. Czasu z d. 19. Stycznia r. b. mówiąc o Tomirze, poetycznym utworze Deotymy, utrzymuje autor, że «za Bolesława Chrobrego, żaden z klasztorów nie powstał, a Benedyktyni tam (na Łysej górze) założeni zostali dopiero przez Kazimierza Mnicha. Może kto powie, że w tworach takich dozwolona jest fantazya; w takim razie zapytam: Czy zmiana faktów historycznych także dozwoloną być może?»

Że fantazyi można niekiedy dozwolić zmiany faktów historycznych, na to się wszyscy estetycy zgadzają, to usprawiedliwiają przykłady najznakomitszych na świecie pisarzów, np. Śmierć dziewicy Orleańskiej w Szyllerze i t. p. lecz żeby krytykowi fantazyi godziło się nie znać faktów, w których obronie stawa, na to krytyka historyczna nie pozwala. Zarzut zrobiony Deotymie jest niesprawiedliwy. Niech autor Tygodnika zajrzy do pierwszego tomu lipskiej edycyi Długosza z r. 1711, a w nim w szpalcie 148 i 149 pod r. 1006 znajdzie obszerną wiadomość o pobycie Emeryka królewicza węgierskiego na dworze Bolesława Chrobrego, o sprowadzeniu przez tego króla do Polski Benedyktynów, a osadzeniu i założeniu dla nich kościoła na Łysej górze, ofiarowaniu do tego kościoła kosztownej pamiątki, zawierającej Relikwie Krzyża Chrystusowego przez Emeryka, na czem wszystkiem Deotyma budową swojego poematu osnowała. Jeżeli nieuwierzy Długoszowi, niech się postara o dzieło: A q u i l a P o l o n o-B e n e d i c t i n a przez X. Stan. Szczygielskiego, ze źródeł Benedyktyńskich w Krakowie w r. 1663 wydane, w niem znajdzie na k. 119 i 120 potwierdzenie podań Długoszowych. Niech poszuka w Naruszewiczu, który lubo powątpiewa o pobycie Emeryka u Bolesława Chrobrego, nie wątpi o sprowadzeniu przez tego Króla Benedyktynów i osadzeniu ich na Łysej górze w r. 1006, a w Sieciechowie w r. 1010 (Tom 2gi, księga 2ga, rozdział 10). Niech wreszcie otworzy jakiegokolwiek kronikarza albo dziejopisa polskiego po Długoszu piszącego, starego czy nowego, wszędzie ten fakt, że Bolesław Chrobry czyli Wielki Benedyktynów do Polski sprowadził znajdzie potwierdzony. (C. d. n.)

Rozmaitość.

*Smutne wydarzenie sprowadziło w niedzielę uczniów tutejszej akademii do głównego szpitalu. Odbywał się to pogrzeb młodego ich kolegi, którego koniec jak i całe życie fantalizmem zda się nieszczęścia naznaczone były. Był to poczciwy i pracowity młodzieniec, który dawaniem lekcyi przez lat kilka utrzymywał matkę i rodzeństwo swoje. Pomiędzy innemi naukami najnamiętniej oddawał się filozofii, oczywiście tej filozofii niemieckiej, metafizycznej, której nieszczęśliwych pracowników porównać by można do bawiącego się w samotną ciuciubabkę po wielkiej Sahary puszczy... wieczne to i smutne błądzenie bez celu, bez śladu i bez nadziei końca!.. Owoż ten młodzieniec o którym mówimy, dzień i noc ślęczał nad niemieckiemi filozofami, i sam nawet na ich podstawie spisywał swoje metafizyczne marzenia. Razu jednego wyszedł najspokojniej do kuchenki z pękiem tych swoich notat filozoficznych, stanął zadumany przy ognisku, i rzucał w nie moralną swą pracę arkusz po arkuszu. Z ostatnim arkuszem, który stał się już popiołem, najrzetelniejszym rezultatem zaciekań się metafizycznych, zabolało go mocno w głowie chwycił się zań ręką i upadł młodzieniec na ziemię. Odtrzeźwiono go wprawdzie, ale z obłąkanym umysłdm, i w tym stanie pozostał biedny aż do śmierci.

* W przeciągu kilka dni mieliśmy dwa tragiczne wypadki samobójstwa. Szewc jakiś powiesił się na wysokim zamku, i młody człowiek aplikujący się do urządu, zastrzelił się, oba podobno z jednej przyczyny, jak słychać finansowej. Młody człowiek żył jeszcze kilka godzin w wielkich męczarniach, bo kula pistoletu położonego na sercu przeszła między nim a płucami na wskróś.

* W sobotę stolica nasza została nagle zaalarmowana. Około godziny dziesiątej padła trzy strzałów mocnych, oczywiście armat

nych, przynajmniej za takie całe je przyjęło miasto. A że trzy strzały armatnie są zwykle hasłem na przypadek alarmu naznaczonem, powstał ruch ogromny w mieście. Wszyscy powybiegali z domów, pytając jeden drugiego co to takiego? Łatwo pojąć jakie najdziksze i najpocieszniejsze robiono domniemywania. Ruch się tymczasem wzmagał, garnizon zaczął występować, oficerowie spieszyli zewsząd do swoich oddziałów, artyleryja wyruszyła; a nikt nie wiedział co się stać mogło?. Po godzinie takiego zaimprowizowanego zamieszania, pokazało się dopiero, że to nie były strzały armatnie, ale z moździerzów dane. Improwizatorami zaś tego popłochu byli kilku strzelców naszych miejskich, zgromadzonych na strzelnicy przy hucznym bankiecie, którzy trzy toasty wznosząc na cześć Najjaśniejszego Pana, Najjaśniejszej Pani i Najdostojniejszego Arcyksięcia naszego, trzema wystrzałami uczcić je kazali.

Przyjechali od dnia 1. do 3. Czerwca do Lwowa.

PP. Kriegshaber Alojzy z Kabarowiec. Rymiński Leopold z Horyhładów. Dolański Józef z Komorowa. Miączyński Mateusz hr. z Wiednia. Mier Henryk hr. z Buska. Cywiński Mieczysław z Brzeżan. Łukasiewicz Jan ze Żerawy. Kunaszewski Hieronim ze Żeliborów.

PP. Jaruntowski Jan z Hermanowic. Zaborowski Konstanty z Liszkowic. Czaykowski Mikołaj z Dusanowa. Woyna Ignacy z Pietrzyc. Bobowski Konstanty z Humnisk. Udrycki Adolf ze Stryja. Fredro Henryk hr. z Lubienia.

PP. Zatorski Tadeusz z Załusza. Torosiewicz Emil z Brzeżan. Dobek Konstanty ze Sarnik. Zawadzki Marcin z Czortkowa. Zawadzki Władysław z Jezierny. Chwalibóg Jan z Lipowiec. Lanckoroński Stanisław hr. z Tarnopola. Rojowski Konstanty z Lubianki. Padlewski Apolinary z Czabarówki. Dzieduszycki Włodzimierz hr. z Poturzyc. Gnoiński Alexander z Krasnego. Łoś August hr. z Milatyna. Wiktor Jan z Glińska.

Wyjechali od dnia 1. do 3. Czerwca ze Lwowa.

PP. Bolechowski Jan do Kołomyi. Komarnicki Bolesław do Jakowic. Kamiński Erazm do Zadworza. Łoś August hr. do Milatyna. Janicki Wilhelm do Ostrowa. Thullie Jan do Mokrzan małych. Załęsk Leon do Kolbajowic.

PP. Gołaszewski Jakób do Krzywego. Krzyżanowski Jan do Kamionki. Jaworski Józef do Kobelnicy. Malczewski Juliusz do Skwarzawy. Remer Erazm do Husiatyna. Serwatowski Wojciech do Reytarowic.

PP. Obertyński Leopold do Stronibab. Mierzyński Rafał do Baryłowa. Borkowski Władysław hr. do Stryja. Rozwadowski Franciszek do Stanisławowa. Jabłonowski Ludwik hr. do Nastasowa. Brzozowski Jan do Rozniowa. Bobowski Konstanty do Brzeżan.

Kurs telegrafowany z Wiednia 4. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	126¼	Pożyczka 5% 79¾ 4½	69
Hamburg za 100 tal. banco	91¾	Akcye banku	992
Londyn za 1 funt szterl.,	12 14	Kolej północna	1957½
Medyolan za 300 lirów	125⅜	Obl. ind.	70½
Paryż za 300 franków .	146⅛	Nowa pożyczka z loteryą	104⅝
Agio duk. ces. . . .	31⅞	Pożyczka narodowa . .	84 7/16

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	48	złr.	5	kr.	51
Dukat cesarski	«	5	»	53	»	5	»	56
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	5	»	10	»	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	»	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	95	«	—	»	95	»	20
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	»	72	»	21	»	72	»	40
5 proc. pożyczka narodowa		84	»	—	»	85	»	—

Lwów, 4. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. 15 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. — kr. do 30 złr. — kr. Jęczmienia po 23 złr. — kr. do 24 złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 22 złr. 45 kr. do 23 złr. — kr. — Ziemniaków po 14 złr. 30 do 17 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 47 złr. 30 kr. do 50 złr. 55 kr. Sosnowego po 37 złr. 30 kr. do 40 złr. w. w. Cetnar siana 4 złr. 15 kr. do 5 złr. 5 kr. Centnar słomy 3 złr — kr. do 3 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Do dzisiejszego numeru dołączony jest uwiadomnienie literackie księgarni Jana Milikowskiego we Lwowie.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**